

Z cyklu rozmów z ekonomistami nad problemami strategii społeczno gospodarczej

(artykuł ukazał się w Naszym Rynku Kapitałowym w nr. 4/2008)

Bez szans na rewolucję

Z prof. Andrzejem Wernikiem, członkiem rady naukowej Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, rozmawiają Marek Misiak i Janusz Palicki

nrk: Co jest dziś największym problemem polskiej gospodarki: niski wskaźnik zatrudnienia, a może zbyt duża inflacja?

Andrzej Wernik: W moim przekonaniu, to fala rosnących oczekiwań płacowych, która może się przełożyć na załamanie koniunktury. Wzrost wynagrodzeń pobudza popyt, ale pamiętajmy, że pobudzony popyt wzmaga zagrożenie inflacyjne. Zmusza to bank centralny do reagowania, co z pewnością odbije się na koniunkturze.

Zatem wyższe stopy, droższy kredyt oraz wyższa marża. W efekcie złoty jeszcze się umocni i może inflacja nie wzrośnie za bardzo.

Jeżeli zostaną podjęte działania antyinflacyjne, to nie powinna zbyt szybko wzrosnąć. Trzeba jednak wyraźnie powiedzieć, że gospodarka rynkowa rozwija się cyklicznie. Są okresy dobrej koniunktury, silnego wzrostu, ale potencjał wzrostu w pewnym momencie się wyczerpuje. Wtedy wchodzimy w okres gorszej koniunktury – niekoniecznie recesji, bo tę rozumiem jako realny spadek PKB w okresie co najmniej jednego kwartału.

Spowolnienie gospodarcze jest więc nieuniknione?

Tak uważam. Niezależnie od zawirowań w amerykańskiej gospodarce, niezależnie od rosnącej fali żądań płacowych w Polsce – ono musi nadejść. Już kilka lat temu zwracałem uwagę w swoich publikacjach, że koniunktura musi się załamać, że w końcu wyczerpie się jej potencjał i dynamika. Nie twierdzę, że to musi stać się w tym roku czy w 2009, ale w latach 2010-2011 prognozuję taki rozwój sytuacji już z dużym prawdopodobieństwem. Nie oznacza to, podkreślam, wystąpienia trwałej recesji, ale PKB będzie rósł nie w tempie 6 procent, ale na przykład 2-3 procent.

Spadek tempa wzrostu PKB nawet o jeden punkt procentowy jest dla polskiej gospodarki poważnym problemem.

Niestety, polityka fiskalna prowadzona była w 2007 roku z absolutnym lekceważeniem tego zagrożenia. Wszystkie programy rządowe, łącznie z programem konwergencji przesłanym w październiku 2008 roku do Brukseli, opierały się na założeniu, że dobra koniunktura utrzyma się. A koniunktura musi się w końcu pogorszyć.

Czy można przedłużyć dobrą fazę cyklu koniunkturalnego?

Dotychczas nikomu nie udało się całkowicie uniknąć negatywnych skutków cyklu koniunkturalnego. Natomiast w wielu krajach udawało się łagodzenie spadków, dekoniunktury, nawet recesji. Na to można już wpływać.

W dużym stopniu zależy to od koniecznych reform w sektorze finansów publicznych...

To jest istota sprawy. Potrzebna jest spójna koncepcja, a tej nie dostrzegam. Do tej pory nie przestałem złościć się na tegoroczny budżet. Zwłaszcza na beztroskie działania Pani Zyty Gilowskiej. Z ponad 30 miliardów złotych – straconych przez pochopne decyzje redukujące obciążenia publiczne – 8

miliardów jestem jeszcze w stanie zaaprobować. Myślę o ulgach rodzinnych, które – patrząc na sytuację demograficzną Polski – mają sens jako działania pronatalistyczne. Natomiast, kiedy myślę o obniżce składki rentowej, która w moim przekonaniu zmniejszyła dochody budżetu o 24 miliardy złotych w tym roku, to zaczynam się irytować. Pracodawca poniesie łączne koszty pracy o około jednego procenta niższe, korzyść mało odczuwalna, a koszty dla budżetu ogromne. Gdyby nie obniżono składek rentowych, byłyby pieniądze i na obniżkę deficytu i na rozwiązanie niejednego problemu płacowego w sferze budżetowej. Mleko już się rozlało i trzeba myśleć, co robić dalej. Całe szczęście, że nie jestem ministrem finansów.

A gdyby Pan nim został, to jak należałoby zbudować kolejny budżet?

Trzeba szukać oszczędności, robiąc przegląd drobnych pozycji. Znaczące obniżenie wydatków sztywnych jest po prostu utopią. Wydatków sztywnych nie da się w krótkim czasie zmniejszyć bez zmian instytucjonalnych. I tu pojawi się pytanie, czy w ogóle mogą zostać dokonane zmiany instytucjonalne?

Budżet zadaniowy?

Może, ale w dalszej przyszłości. Niektórzy eksperci twierdzą, że pomoże wzrost zatrudnienia – podwyższenie wieku emerytalnego, praca dla starszych roczników. Jest to piękne, dobre i słuszne, ale w krótkim okresie nie rozwiązuje problemu. Nabytych uprawnień nie można odebrać – konstytucja na to nie pozwala, a mało kto zrezygnuje z uzyskanej wcześniejszej emerytury.

Najbardziej znaczącą pozycję w wydatkach sztywnych stanowią właśnie renty i emerytury.

Z rentami wiążą się dwa wielkie nieporozumienia. Pierwsze, które zaciążyło na tym rzekomo rekordowym udziale rent, wynika z tego, że pod szyldem rent mieszczą się różne rodzaje świadczeń: renty z tytułu niezdolności czasowej lub

stałej do pracy oraz renty rodzinne. Drugie nieporozumienie polega na tym, że obecnie świadczenia rentowe nie rosną, nawet się zmniejszają. Między innymi dlatego, że część rencistów z okresu liberalnego ich przyznawania osiągnęła wiek emerytalny i uzyskała prawo do emerytury. Nowe renty są już przyznawane bardzo ostrożnie. Stanowi to uzasadnienie dla rewizji stawek. Rozczłonkowanie na cztery fundusze: emerytalne, rentowe, wypadkowe, chorobowe – przesadnie komplikuje system ubezpieczeń społecznych.

Istotna jest także wysokość wieku emerytalnego.

Konieczne jest wygaszanie uprawnień do wcześniejszego przechodzenia na emeryturę. W realiach polskiej gospodarki pomysł przyznawania mężczyznom emerytury od sześćdziesiątego roku życia jest, w kategoriach zdrowego rozsądku, trudny do wyjaśnienia. Późniejsze przechodzenie na emeryturę wiąże się z sytuacją na rynku pracy. Bezrobocie jest w Polsce głównie problemem obszarów oddalonych od dużych miast, w których spadło praktycznie do zera. I nie oznacza to wcale, że pracodawcy zainteresowani są tam zatrudnianiem pracowników w starszym wieku. Z tego, co słyszę, jeśli ktoś po pięćdziesiątce utraci pracę, to nawet posiadając wysokie kwalifikacje, ma wielkie trudności w znalezieniu nowej pracy. Jednak należy pamiętać, że eliminacja możliwości wcześniejszego przechodzenia na emeryturę nie rozwiąże automatycznie tego problemu.

A obciążenie bogatych rolników wyższymi składkami emerytalno-rentowymi?

To można i trzeba zrobić. Nie należy jednak oczekiwać, że efekty wystąpią szybko.

Czyli faktycznie w pakiecie problemów związanych z emerytami i rentami nie da się wiele zmienić?

W Argentynie przed kryzysem w 2001 roku, na wiosnę, obniżono wszystkie emerytury – bodajże o 15 procent. W Polsce zrobić tego nie można nie tylko z powodów społecznych, ale także prawnych.

Drugą, wielką pozycję w budżecie stanowią wydatki na ochronę zdrowia.

W tym roku jest to czterdzieści kilka miliardów złotych. Tych wydatków nie da się zmniejszyć. Słuszna jest opinia, że dosypywanie pieniędzy bez zmian strukturalnych nic nie da. Tymczasem wprowadzanie reformy też kosztuje. Co ja bym proponował? Na początek należy wziąć przykład z naszego południowego sąsiada. Opłaty, mniej więcej po pięć złotych, za wizytę w przychodni – tyle co w Czechach – odciążąby lekarzy, bo zniechęciłyby pacjentów do nieuzasadnionych wizyt, a równocześnie przyniosłyby dodatkowe pieniądze.

Zatem na emeryturach i zdrowiu niewiele zaoszczędzimy. Gdzie więc można?

Dotacje dla FUS-u i KRUS-u są pozycjami trudnymi do redukcji. Podobnie z kwotą około 40 miliardów złotych przeznaczonych na obsługę długu i składkę do budżetu unijnego. To samo z dotacjami dla samorządów. Tego też nie ruszymy.

Pole manewru rządu jest niewielkie.

Niestety...

Pozostaje prywatyzacja...

Nie należy się jednak łudzić, że wpływy z prywatyzacji rozwiążą wszystkie obecne i przyszłe problemy zrównoważenia finansów publicznych.

Czy w Polsce trzeba zmieniać podatki?

W sprawach podatkowych w najbliższym czasie należałoby unikać zmian, które mogą spowodować więcej szkód niż pożytku. Już zrobiono bardzo dużo, niekoniecznie dobrze. O składce rentowej już mówiłem.

Biznesmeni narzekają na zbyt duże obciążenia.

W zakresie CIT-u zeszliśmy do zupełnie przyzwoitego poziomu – 19 procent. Nieliczne kraje wykazują niższe stawki. Na przykład, w Irlandii podaje się stawkę opodatkowania na poziomie 12,5 procent – o czym głośno się mówi. Ale w niektórych dziedzinach stosowana jest też w Irlandii stawka 25 procent, co jest już mniej znane. Nasza efektywna stopa opodatkowania dochodów osób fizycznych będzie znacząco obniżona przez ulgi rodzinne. Jeżeli chodzi o akcyzę, to ją trzeba podwyższyć – na przykład na papierosy, zresztą zobowiązuje nas do tego Unia Europejska.

Ekonomiści i politycy zastanawiają się nad optymalnym dla Polski poziomem deficytu budżetowego?

Obniżenie deficytu general government, czyli całego sektora finansów do poziomu 1-1,5 procent PKB – wydaje się rozwiązaniem racjonalnym. Lepszym od wychodzenia na zero czy szukanie nadwyżki. Nadwyżka w budżecie powodowałaby nadmierne opodatkowanie. Deficyt na poziomie 1-1,5 procent PKB wydaje się więc w naszych warunkach rozwiązaniem zbliżonym do optymalnego. Taki deficyt nie powoduje w Polsce pogarszania się relacji długu do PKB. Zresztą w polskich warunkach właściwie nawet przy dwuprocentowym deficycie nie nastąpiłoby jeszcze pogarszanie się tej relacji. Tak jest obecnie. Gdyby dług wzrósł, to deficyt musiałby być niższy.

Jak powinna wyglądać nasza strategia wobec groźby uruchomienia unijnej procedury nadmiernego deficytu oraz strategia dojścia do kryteriów z Maastricht, co pozwoli przyjąć wspólną europejską walutę?

Jestem za całkowitym rozdzieleniem kwestii nadmiernego deficytu i wejścia do strefy euro. W interesie Polski jest przywrócenie względnej równowagi finansów publicznych. Nawet jeżeli nie zamierzamy przyjmować wspólnej waluty, to też powinniśmy ograniczyć deficyt finansów publicznych. W każdym scenariuszu – z euro czy bez – w interesie Polski jest zrównoważenie finansów publicznych, bowiem jest to istotny czynnik utrwalenia szybkiego wzrostu gospodarczego. Przy miękkich, niezrównoważonych finansach publicznych tempo wzrostu gospodarczego szybko zacznie spadać.

Kiedy powinniśmy wejść do strefy euro?

Za wcześnie, by wyrokować. Trzeba odczekać przynajmniej pół roku. Wtedy okaże się, jak ukształtuje się koniunktura, jaka będzie jej perspektywa średniookresowa. Jeżeli koniunktura się nie załamie i osiągnie tylko niewielki dołek, to z wejściem do strefy euro trzeba się spieszyć. Jeżeli koniunktura załamie się wyraźnie, to należy poczekać.